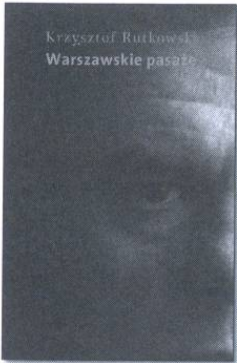


KAROL PŁATEK

Krzysztof Rutkowski, „Warszawskie pasaże”. Gdańsk, słowo / obraz terytoria, 2018.

Krzysztof Rutkowski swój czterotomowy cykl *Paryskie pasaże* zaczął pisać lata temu jako felieton dla „Gazety Wyborczej”. Z czasem jednak obrazki z Francji nabrały innego charakteru. Felieton przeszedł w esej, a ten — stał się w końcu autorską formą powstałą z połączenia prozy, rozprawy naukowej, traktatu i innych jeszcze elementów (bo to żarłoczny typ pisania, który niejedno wchłonie i przetworzy). *Warszawskie pasaże*, naj-



nowsza książka Rutkowskiego, w oczywisty sposób nawiązują do tamtych tomów.

W otwierającej książkę nocie odautorskiej Rutkowski bierze felieton w cudzysłów — i to dosłownie. Jakby od razu chciał podkreślić, że ta nieszkodliwa łątka nie do końca mu odpowiada. Wystarczy zacząć czytać pierwsze teksty, by zdać sobie sprawę z tego, że erudycyjna gęstość i stylistyczna brawura wykluczają je z grona jednorazowych ciekawostek.

To bardzo krótkie utwory, ale ich intensywność niejednokrotnie wymaga skupienia. Rutkowski tka swoje pasáže z wielu materiałów — te niby-centony składają się z aluzji do filozofii, poezji romantycznej, ale też do piosenek Maryli Rodowicz (bo i tak się zdarza). Dzięki temu powstała machina intertekstualna służąca do prowadzenia wyjątkowej narracji o samym sobie. Bo to w gruncie rzeczy bardzo osobista książka; wiele z niej można wyczytać o problemach i trudnych stanach emocjonalnych jej autora, trzeba tylko umiejętnie czytać między wierszami. Spod wielości odwołań wyziera prawdziwy smutek.

Przerabianie innych dzieł sztuki w swoją własną opowieść (w ekscentryczną autobiografię) jest doskonale zrealizowaną strategią eseistyczną. Czytelnik musi poskładać wszystkie dane w całość, potężne dawki wiedzy odnieść do sytuacji narratora spacerującego po Grochowie. Przypuszczam, że niektórych może taka metoda razić czy irytować, z drugiej strony — nigdy nie był Rutkowski pisarzem dla wszystkich, ale w tym właśnie tkwi jego siła; trzeba chcieć się z nim wadzić. Należy jednak dodać, że nie jest to książka zamknięta na cztery spusty.

Rutkowski tłumaczy, że pisanie w Warszawie znacząco różni się od pisania w Paryżu. Warszawa domaga się innej formy, „bardziej skurczonej, przyduszonej”. Rzeczywiście — *Warszawskie pasáže* wydają się bardziej skondensowane niż niegdysiejsze teksty autora *Śmierci w wodzie*; krótkie zdania, niewielkie akapity. „Przyduszenie” paradoksalnie nie kłóci się z prawdziwym rozgadaniem. Bardzo to hauptowskie — krótka forma, gęsta i sugestywna (swoją drogą tekst zamykający książkę w całości zbudowany jest wokół *Deszczu* Zygmunta Haupta).

To szalone pisanie. I używam tego słowa jako komplementu. Natłok skojarzeń, stylistyczny nadmiar, poruszanie tematów, które mało kogo obchodzą — wszystko to składa się na bezkompromisowy literacki projekt. W *Warszawskich pasażach* (i w całej twórczości Rutkowskiego) podoba mi się najbardziej nieudawana oryginalność, która nie ogląda się za siebie.